

Charlotte **LINK** Wielbiciel

fragment

Z języka niemieckiego przełożyła
Daria Kuczyńska-Szymala



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

CZĘŚĆ PIERWSZA

Cudownie się bawiła, uciekając przed nim przez las. Odkryli tę zabawę gdzieś pod koniec lata. To był słoneczny, upalny dzień, przypomniała sobie, ale w lesie panował przyjemny cień i było o wiele chłodniej niż na polu.

– Złap mnie! – powiedziała nagle, wysuwając dłoń z jego ręki i odbiegając.

Począł, aż będzie miała dostateczną przewagę, żeby nie było za łatwo. Tak, czekał, aż zniknie mu z oczu. Przeskakiwała przez doły, przedzierała się przez zarośla, kluczyła niczym zając, żeby go zmylić. Cały czas myślała: „Śmieszne, mam prawie pięćdziesiąt lat, on ma już ponad pięćdziesiąt, a biegamy jak dzieci, bawimy się jak w berka albo chowanego...”.

Zrobiło jej się gorąco na myśl, że mógłby ją zobaczyć któryś z dwóch dorosłych synów. Ale potem powiedziała sobie, że cały urok tej zabawy polega właśnie na tym, że *nikt* jej nie widzi. Ani synowie, ani sąsiedzi. Są sami pośród głębi i ciszy lasu.

W którymś momencie wpadła mu prosto w ramiona. Przechytrzył ją, nagle wyrósł przed nią młodych jodeł, przez które się przedzierała, z włosami pełnymi igieł i ubraniem pokrytym liśćmi i ziemią. Naprawdę się przestraszyła, on twierdził potem, że krzyczała, ale ona tego nie pamiętała. Najważniejsze było to, co stało się potem. Kochali się na leśnym poszyciu, pomiędzy małymi jodełkami, oboje niemłodzi, z dwójką dorosłych dzieci, własnym domem, jamnikiem, zabudową kuchenną i nowiutkim kompletem zamszowych kanap. On miał za duży brzuch i latem kosił trawę co drugą sobotę, a ona miała za grube uda i bardzo pragnęła wnuka. Nikt, kogo znała, nie uwierzyłby, że są zdolni do jakichkolwiek szaleństw. Byli drobnomieszczańscy, ale świetnie funkcyjono-

wali w tym swoim kołtuństwie i dobrze się z nim czuli. Tylko czasami...

Dziś znów był taki dzień. Ciepły dzień na początku lata.

– Złap mnie! – powiedziała i tym razem, a on odpowiedział:

– Jest za gorąco...

Ale ona już pobiegła, uparta jak dziecko, które nikomu nie pozwoli zepsuć swojej ulubionej zabawy.

Nie widziała go ani nie słyszała. Zatrzymała się, otarła pot z czoła i zaczęła nasłuchiwać. Nic. Żadnych kroków, żadnych szelestów. Jakby była zupełnie sama na świecie. Naprawdę zostawiła go tak daleko w tyle? A może czai się gdzieś blisko, schowany za krzakiem i czeka na odpowiedni moment, żeby wyskoczyć i napędzić jej wielkiego stracha?

Nagle poczuła lekkie mdłości. Nie miała pojęcia dlaczego. Gdyby znienacka się pojawił, wystraszyłaby się, ale to byłby przyjemny dreszczyk. Jeszcze nigdy nie bała się tak naprawdę. Tym razem czuła prawdziwy strach. Pomimo promieni słońca padających przez liście drzew, pomimo świergotu ptaków i plu-sku strumienia w pobliżu las napawał ją jakimś straszliwym przecuciem. Wydało jej się to idiotyczne, ale miała wrażenie, że zwietrzyła coś złego, niczym zwierzę, które wyczuwa niebezpieczeństwo, zanim się ono pojawi. Zdawało się jej, że jest sama, ale czuła, że tak nie jest.

Półgłosem zawołała jego imię. Bez odpowiedzi. Świergot ptaków ucichł na chwilę, lecz potem rozbrzmiał z nową siłą. I nagle ogarnął ją strach, intensywny, pulsujący. Odwróciła się i zaczęła szybko biec, próbowała odnaleźć drogę powrotną, ale nie znajdowała żadnych znajomych miejsc. Czy mijala już tę grupę drzew? Nie pamiętała, żeby widziała wcześniej mrowisko.

Znów zawołała jego imię, tym razem głośniej, a w jej głosie pojawiła się panika. Czy on nie odpowiada jej dla żartu? Jest gdzieś blisko, czuła, że ktoś tam jest... Jej strach zaczął się prze-radzać w gniew. Posuwa się za daleko. Musiał zauważyć, że teraz woła go na poważnie. Koniec zabawy. Już nie wyobrażała

sobie, że jest nastolatką, która biega po lesie szczęśliwa i zakochana. Była niemal pięćdziesięcioletnią kobietą z grubymi nogami. Kobietą, która się boi.

Gdy zauważyła postać przy drzewie, nie od razu dotarło do niej, co widzi. Stała jak wryta i wbiła w nią wzrok. Jej mózg jakby się bronił przed przetworzeniem obrazu. Najpierw pomyślała tylko: „Wiedziałam, że ktoś tu jest”.

A potem, w następnej sekundzie, jej umysł nie mógł się już dłużej bronić przed tym, co spostrzegały oczy. To była młoda kobieta. A stała tak dziwnie blisko drzewa dlatego, że była do niego przywiązana. Stała wyprostowana, tylko głowa opadła jej na pierś. Ubranie zwisało w strzępach i wszędzie było pełno krwi. Na niej, obok niej, wszędzie wokół. Przywiązano ją do drzewa, a potem zaszlachtowano i zostawiono niczym groteskowego stracha na wróble, który na zawsze odebrał lasowi jego niewinność, spokój i sekretne zabawy. Krew młodej kobiety zniszczyła iluzję, że świat może być dobry, a życie proste.

Widok tej krwi na zawsze wrył się jej w pamięć. Miała wrażenie, że czuje ją na skórze, jakby ją tą krwią opryskano.

I stała tam tylko, nie mogąc wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

I

1

Gdy się obudziła, za oknem panowały jeszcze ciemności. Do pokoju wpadał delikatny wietrzyk, nie był jednak w stanie rozpędzić duchoty, która zapanowała w pomieszczeniu w ciągu dnia. Mieszkańców Frankfurtu dręczyła fala upałów. Ponad trzydzieści stopni w cieniu, dzień za dniem, od prawie trzech tygodni. Wyasfaltowane ulice i budynki pochłaniały ciepło i bezlitośnie je oddawały. Ludzie narzekali na chłodną zimę i deszczową wiosnę. A teraz skarżyli się na upalne lato. Może są niewdzięczni? A może klimat z czterema porami roku faktycznie stracił wszelki umiar i teraz przejawia się jedynie w postaci trudnych do zniesienia ekstremalnych zjawisk?

Leona nie zamierzała się przyłączać do chóru skarg, ale pomyślała, że w takim gorącu nie da się spać. Choć zdawała sobie przecież sprawę, że to nie upał ją obudził.

Daremnie próbowała odczytać godzinę z zegarka, który nosiła na nadgarstku nawet w nocy. W końcu włączyła nocną lampkę. Trzecia. Choć wyłączyła światło niemal natychmiast, trwający sekundę blask wystarczył, żeby obudzić Wolfganga.

– Znowu nie możesz spać? – zapytał z rozdrażnieniem, którego od niedawna pojawiała się w jego głosie zawsze wobec Leony.

– Jest okropnie gorąco.

– Jakoś do tej pory nie sprawiało ci to różnicy – powiedział znużonym tonem. On też wiedział, że to nie sprawa upału.

– Chyba znowu miałam sen – przyznała Leona. Już dawno uświadomiła sobie, że zaczęła irytować Wolfganga.

Wydawał się rozdarty pomiędzy chęcią zignorowania jej psychozy, jak nazywał w duchu jej problemy, i pospania sobie dalej, a poczuciem, że ma obowiązek wysłuchać Leony i ją pocieszyć. Zwyciężyło poczucie obowiązku, choć po cichu przeklął się za to. Miał za sobą ciężki dzień, a jeszcze cięższy przed sobą. Ten upał go wykańczał, a do tego miał mnóstwo trosk, o których nikt nie miał pojęcia. Naprawdę potrzebował snu.

Westchnął.

– Leono, nie uważasz, że trochę się sama nakręcasz? Mam wrażenie, że ciągle myślisz o... o tej sprawie. Za dużo nad tym rozmyślasz, a to się potem przekłada na twoje sny. Powinnas z tym walczyć.

– Myślisz, że nie próbuję? Cały czas staram się zajmować czymś innym. Pracą, sportem, rozmowami o wszystkim i o niczym. Zapewniam cię, że nie siadam sobie i nie pogrążam się w ponurych rozmyślaniach.

– Więc nie powinnaś ciągle mieć tych snów.

Czuła, że zaraz ogarnie ją straszliwa wściekłość, którą Wolfgang wzbudzał w niej za każdym razem, gdy zabierał się do rozwiązywania problemów podług swoich standardowych wytycznych. Wolfgang miał niepodważalne przekonania, jeśli chodzi o zmartwienia, lęki, psychiczne rozbiecie. „Skoro robisz to i to, to tamto czy siamto nie może mieć miejsca!” „Skoro nie robisz tego czy tamtego, to na pewno stanie się tamto czy siamto”.

Wolfgang nie był w stanie pogodzić się z myślą, że życie nie podporządkowuje się wymyślonym przez niego regułom. Jeśli sprawy nie układały się tak, jak sobie założył, wina leżała po stronie danej osoby, która musiała coś zrobić nie tak.

– Do cholery, Wolfgangu, to nie jest takie proste! Próbuję z tym walczyć, ale mi się nie udaje. Może potrzebuję więcej czasu.

– To tylko kwestia chęci – oznajmił Wolfgang, tłumiąc ziewnięcie. U niego wszystko zawsze było kwestią chęci. Nie mieściło mu się w głowie, że są pewne sfery życia, na które nie da się wpłynąć samą siłą woli. Dla niego nie istniały takie pojęcia jak los czy zbieg okoliczności, podobnie jak przypadek czy opatrność. Może miał rację. Leona była bardzo daleka od angażowania się w ezoteryczną ideologię; była racjonalistką, nawet jeśli przy Wolfgangu wydawała się oderwaną od życia marzycielką. Jednak w jej życiu istniała jakaś potęga wykraczająca poza to, co ludzie rozumieją i nad czym panują. W przeciwnym razie nie udźwignęłaby go. Wolfgang ciągle jej wyrzucał, że to wynika z braku gotowości do przejęcia odpowiedzialności.

– Do pojęcia losu uciekają się tylko ci ludzie, którzy chcą rzucić część odpowiedzialności, jaką ponoszą za swoje uczynki i zaniechania, na jakąś osadzoną poza doczesnym światem instancję. To próba zwykłego rozłożenia obciążenia, ale ostatecznie sprowadza się do tego, że człowiek oszukuje sam siebie.

Leona nie potrafiła znaleźć kontrargumentów, zwłaszcza że jak najbardziej akceptowała jego poglądy dotyczące ludzkiej wiary w los. Jednak jej zdaniem nie wykluczało to wcale faktycznego istnienia jakiejś działającej z oddali siły.

Wpatrując się w ciemność, zastanawiała się, czy fakt, że to właśnie ona przechodziła tamtędy, gdy młoda kobieta postanowiła zakończyć swe życie i wyskoczyła przez okno, ma jakiś głębszy sens. Zwykle o tej porze, wpół do dwunastej, nie chodziła po ulicach, tylko od paru godzin siedziała przy biurku w wydawnictwie. Tamtego przedpołudnia miała jednak wizytę u dentysty, która na dodatek się przedłużyła przez zamieszanie spowodowane przez jakiś pilny przypadek. Tylko dlatego stało się tak, że dokładnie w tej nieszczęsnej chwili śpieszyła przez miasto, zdenerwowana długim czekaniem, z lewą połową twarzy zeszytniałą od znieczulenia, o które przezornie poprosiła. Było bardzo ciepło, czuła, że cała się klei od potu, i pragnęła jak najprędzej pójść do domu, wziąć prysznic, a potem usiąść

w ogrodzie z książką i lodowatym sokiem pomarańczowym. Czowała się okropnie, chciało jej się płakać.

Najpierw nie rozumiała, co się stało. Później policja daremnie próbowała się od niej dowiedzieć, jak to było, gdy ta kobieta wyskakiwała. Czy może widać było za nią jakąś inną osobę albo czyjś cień? Czy to wyglądało tak, jakby sama skakała, czy jakby ją ktoś popchnął? Ale Leona nie potrafiła odpowiedzieć na te pytania, bo nic nie widziała. Była zatopiona w myślach, zajęta swoim zębem i opuchniętym, ścierpniętym policzkiem. I pewnymi troskami, które dręczyły ją od jakiegoś czasu, lecz o których z nikim nie chciała rozmawiać.

Zauważyła coś dopiero wtedy, gdy kobieta już spadała. Ściśle rzecz biorąc, nie wiedziała, że to spada człowiek. Jakiś duży obiekt spadł dosłownie z jasnego, to znaczy bezchmurnego, słonecznego nieba i z okropnym plaśnięciem uderzył o chodnik kilka metrów od Leony.

Stała tam zaszokowana, nie mogąc w to uwierzyć, bo po dwóch czy trzech sekundach zrozumiała, że to był człowiek. Kobieta. Miała na sobie letnią, bawełnianą zieloną sukienkę w kwiatki, a na stopach białe sandały. Jej ciemnoblonde włosy sięgały ramion. Leżała w słońcu na rozgrzanym asfalcie niczym wyrzucony niedbale przedmiot, bezkształtny śmieć, który ktoś cisnął z przejeżdżającego samochodu. Jej ręce i nogi odstawały od tułowia pod dziwnym kątem.

Leona nie była potem w stanie stwierdzić, ile czasu stała tam jak wryta, wpatrzona w ciało. Wydawało jej się, że minęła cała wieczność, a wszystko wokół – drżące na delikatnym wietrze liście, kot przechodzący przez ulicę, ptak, który przeskakiwał ze słupka na słupkę – że wszystko to zaczęło się dziać w zwolnionym tempie, a napływające z drugiej strony dzielnicy mieszkaniowej dźwięki ruchliwego centrum wygłuszył szklany ekran.

Dopiero gdy usłyszała cichy jęk kobiety, otrząsnęła się z oszołomienia, podbiegła do niej i uklękła obok.

– Mój Boże, co się stało? – usłyszała swój głos. – Czy mogę jakoś pani pomóc?

„Co za kretyńskie pytanie” – pomyślała od razu.

Kobieta otworzyła oczy. Miała piękną twarz, widać to było nawet w takiej chwili. Nigdzie nie było krwi, ale sądząc po ułożeniu jej członków, miała połamane chyba wszystkie kości. Leona jeszcze nigdy nie widziała nikogo tak bladego.

– W końcu mu się udało – powiedziała cichym, ale wyraźnym głosem. Powtórzyła: – Udało mu się.

I popatrzyła na Leonę.

– Komu się udało? O kim pani mówi?

Kobieta nic już nie powiedziała. Jej oczy wywróciły się nagle do góry białkami. Straciła przytomność.

Leona dopiero wtedy pomyślała o tym, żeby zerknąć do góry i sprawdzić, skąd spadła nieznajoma. Znajdowały się bezpośrednio przed nowym budynkiem, sześciopiętrowym apartamentowcem zbudowanym w starym, cienistym ogrodzie, w którym kiedyś stała willa z piaskowca. Zburzono ją, żeby upakować jak najwięcej ludzi na małej przestrzeni, zarabiając przy tym krocie. Ostatnio robiono tak wszędzie w całej dzielnicy, ograbiając ją w ten sposób stopniowo z dawnego uroku.

Budynek został wzniesiony tuż przy ulicy, dosłownie dwa kroki dzieliły drzwi wejściowe od chodnika. Na najwyższym piętrze jedno z okien było szeroko otwarte. Leona nie miała wątpliwości, że kobieta wyskoczyła właśnie stamtąd.

– Niech się pani nie rusza – powiedziała, zupełnie niepotrzebnie, bo nieznajoma wciąż była nieprzytomna. – Sprowadź pomoc.

W pewnej odległości spostrzegła starszego pana, który wyszedł na spacer ze swoim cocker-spanielem. Zatrzymał się i patrzył na nie, ale jego mina zdradzała, że albo niedowidzi, albo nie rozumie, co się stało.

Pomachała do niego gorączkowo, żeby podszedł, ale on cały czas stał i się gapił. Zerwała się i podbiegła do niego.

– Ta kobieta wyskoczyła przez okno! – zawołała. – Mieszka pan tutaj? Może pan zadzwonić po pogotowie?

Wytrzeszczył oczy.

– Wyskoczyła przez okno?

– Tak. Trzeba natychmiast sprowadzić karetkę.

– Może pani zadzwonić ode mnie – zaproponował. – Mieszkam tuż obok.

Wskazał na okazałą willę, która stała parę metrów dalej, ale Leonie wydawało się, że całą wieczność zajęło, zanim zdołał się odwrócić, a ciężki, powolny krok, którym ruszył, doprowadził ją niemal do wściekłości. Jednak choć gorączkowo rozglądała się wokół, nigdzie nie widziała budki telefonicznej. Raz po raz zerkala na tamtą kobietę. Nie ruszała się.

Starszy pan bezskutecznie grzebał w kieszeni spodni w poszukiwaniu kluczy, a pies popiskiwał. Leona aż się trzęsła ze zniecierpliwienia. Spostrzegła przebiegającą przez ulicę kobietę w stroju do joggingu.

– Wszystko widziałam! – zawołała. – Zadzwoniłam po pogotowie!

– Bogu niech będą dzięki – powiedziała Leona i zostawiła staruszką.

Kolejne dwie godziny to był jeden wielki chaos. Lekarze, policjanci, gapie, barierki, pytania, przypuszczenia, ciekawskie spojrzenia i szeptane po cichu słowa. Leona znajdowała się w centrum ogólnego zainteresowania, bo w jakiś tajemniczy sposób od razu się rozniosło, że była świadkiem wydarzenia, pierwszą osobą na miejscu nieszczęśliwego wypadku. Tymczasem ze wszystkich okolicznych domów powychodzili mieszkańcy, zatrzymywały się wracające ze szkoły dzieci. Nieszczęsną kobietę już dawno odwieziono. Leona siedziała na schodkach przed jednym z budynków. Ktoś przyniósł jej kubek kawy, który z wdzięcznością ścisnęła w dłoniach. Opowiedziała jednemu z policjantów, co się wydarzyło, to znaczy tyle, ile widziała, a on poprosił, żeby została jeszcze do ich dyspozycji. Lekarz zapytał

ją, czy czegoś potrzebuje, ale ona tylko potrząsnęła głową i powiedziała, że wszystko w porządku.

Ale chyba nie było w porządku. Coś w jej wnętrzu cały czas opierało się przed zaakceptowaniem tego, co zobaczyła. Za każdym razem, gdy pojawiał się przed jej oczami widok leżącej na ulicy kobiety, gdy budziła się w niej myśl o jej groteskowo powykręcanych członkach, umysł Leony wysyłał polecenie, by natychmiast zobaczyć i pomyśleć coś innego. Nie czuła, by sama miała udział w owym procesie wypierania. Działo się w niej coś, na co nie miała wpływu. W którymś momencie, gdy tak siedziała, rejestrując powoli, że z powrotem odzyskuje czucie w znieczulonej połowie twarzy, przyszła jej do głowy myśl, że może być w szoku. Może powinna była pojechać do szpitala. Wydawało jej się jednak, że już na to za późno, więc siedziała tak po prostu, mrużąc oczy przed słońcem.

– Chce pani jeszcze kawy? – z tyłu dobiegł jakiś sympatyczny głos.

Leona odwróciła się i zobaczyła starszą kobietę, która trzymała w dłoniach termos. To najpewniej ona wcisnęła jej wcześniej do rąk kubek. Wyglądała na roztrzęsioną.

– Bardzo chętnie – powiedziała Leona z wdzięcznością.

Kobieta dołała jej kawy.

– Jest pani strasznie blada! To musiało być dla pani okropne. Biedna, biedna Eva! Trudno mi w to uwierzyć! – W głosie starszej pani słychać było wzruszenie.

– Eva? – zapytała Leona. – Tak miała na imię? – Natychmiast się poprawiła: – Tak ma na imię?

– Eva Fabiani. Przyjaźnimy się, wie pani. Mieszkam piętro niżej. Ale nic nie zauważyłam. Byłam na balkonie, a on wychodzi na drugą stronę.

Kawa była gorąca i mocna. Raczej niewskazana dla jej dopiero co wyleczonego zęba, ale w obliczu najświeższych wydarzeń żab wydawał się Leonie nieistotny.

– Mam okropne wyrzuty sumienia – powiedziała starsza pani. – Powinnam była się domyślić, że coś takiego może się

zdarzyć. Chyba nie potrafiłam sobie wyobrazić, że ona to naprawdę robi. Ja nie miałabym odwagi.

– Musiała być zdesperowana – powiedziała Leona.

Znów ten obraz. Kobieta na chodniku. Ramiona i nogi jakby przypadkiem rozrzucone, jakby nie miały już nic wspólnego z ciałem. Co zresztą zapewne odpowiadało rzeczywistości. Gdy kładli Evę na noszach, jeden z sanitariuszy powiedział:

– Ona połamala się dosłownie na kawałki!

– Tak, była zdesperowana – powiedziała kobieta z kawą – ale ostatnio wydawało mi się, że czuje się lepiej. Rozwiodła się cztery lata temu. Wtedy się tu wprowadziła. Razem z byłym mężem sprzedali dom w Kronbergu, a ona za swoją część kupiła mieszkanie na samej górze. Bardzo ładne mieszkanie. Cudowny taras od wewnątrz. Bardzo przeżywała rozwód. Bardzo potrzebowała towarzystwa, a ja się nią zajęłam. Też jestem samotna. Wydawało się, że pomału zaczyna z tego wychodzić. Ale przed dziewięcioma miesiącami jej były mąż...

Podszedł do nich policjant.

– Pani Dorn?

– Tak? – odpowiedziała Leona.

– Może już pani iść do domu. Poproszę tylko o dane personalne, żebyśmy mogli się z panią skontaktować. Niewykluczone, że poprosimy jeszcze raz o dokładny opis wydarzeń.

– Ja naprawdę nic nie widziałam. Dopiero jak spadła...

– Może jednak coś się pani przypomni. Zgłosimy się do pani.

Podala mu adres i numer telefonu do domu i do pracy, a on zanotował sobie wszystko w grubym notatniku. Leona podała też swój numer przyjaciółce Ewy Fabiani z prośbą o wiadomość, gdy dowie się czegoś o jej stanie.

Kawa dodała Leonie sił. Poczula się lepiej. Poszła do wydawnictwa, usiadła przy biurku i zdołała nawet odwalić kawał roboty.

O piątej zadzwoniła sąsiadka. Eva Fabiani pomimo starań lekarzy zmarła w szpitalu z powodu ciężkich obrażeń.

Ile razy miała od tamtej pory ów sen? Nie codziennie, ale niemal co drugą noc. Kobieta przecinająca powietrze. Okropny dźwięk, gdy ciało uderzyło o asfalt. Wyraz jej twarzy, oczy, które nagle jakby odpłynęły. Niemal w każdym śnie pojawiał się też olbrzymi, pochylający się nad nią policjant. Był tak blisko, że czuła, że musi się cofnąć, ale nie mogła tego zrobić.

– Czy coś pani zauważyła? – pytał. – Czy coś pani zauważyła? Czy coś pani zauważyła? Czy coś pani...

Powtarzał pytanie w coraz szybszym tempie, energicznym staccato. Nie była w stanie wydusić z siebie, że nic nie widziała. On zresztą chyba wcale by nie słuchał. Recytował tylko swoje pytanie, nie zwracając zupełnie uwagi na jej rozpaczliwe próby udzielenia odpowiedzi.

– Może powinnaś się wybrać do psychoterapeuty – powiedział Wolfgang. – Wiesz, że nie mam o nich najlepszego zdania, ale może potrzeba ci tylko paru godzin, podczas których opowiedziałabyś neutralnej osobie o tym, co ci ciąży na sercu. Wygląda na to, że ja nie potrafię ci pomóc.

W jego głosie słysząc było, że jest urażony. Leona zaczęła się zastanawiać, kiedy i w jaki sposób próbował jej pomóc. Słuchał oczywiście, gdy wszystko opowiadała, wieczorem tamtego dnia. Był wstrząśnięty i było mu naprawdę przykro, że to właśnie jej przytrafiło się coś takiego. Nalał jej koniaku, a potem zajął się jedzeniem, podczas gdy ona siedziała w salonie i płakała. Przypalił ryż i przesolił grzyby w sosie śmietanowym, ale liczyła się dobra wola, a Leona rzeczywiście poczuła się lepiej. Jednak uważał chyba, że tyle powinno wystarczyć. Coraz bardziej się irytował, gdy Leona każdego kolejnego dnia zaczynała ten temat. Pewnego ranka przy śniadaniu cisnął serwetkę obok talerza i popatrzył na nią z gniewem.

– Szczerze mówiąc, Leono, nie chcę już słyszeć o Evie Fabiani. Na litość boską, ja rozumiem, że to było dla ciebie kosz-

marne doświadczenie, ale ty przecież w ogóle tej kobiety nie znałaś! Znasz tylko jej nazwisko, nic o niej nie wiesz, nie wiesz nawet, dlaczego rzuciła się z okna. Powinnaś o tym wszystkim jak najszybciej zapomnieć!

Miał rację, wiedziała o tym. Powinna przestać myśleć o kobiecie, która była mniej więcej w jej wieku i nie widziała innego wyjścia poza samobójstwem. Leonie wydawało się nieprawdopodobne, żeby to było zabójstwo, choć czasem miała wrażenie, że morderstwo nie wstrząsnęłoby nią tak, jak dobrowolna śmierć.

Starala się już nie wspominać o tym przy Wolfgangu, chyba że się nie dało, jak na przykład teraz, gdy w nocy budziły ją koszmary.

– Ja też nie mam dobrego zdania o psychoterapeutach – rzuciła tylko. Wiedziała, że wydaje zbyt ogólne sądy, ale jedna z jej koleżanek po wieloletniej terapii była w jeszcze gorszym stanie niż wcześniej. – Ani ich nie potrzebuję – dodała niemal z przekorą. – Potrzebuję tylko odrobiny czasu.

Wolfgang stłumił kolejne ziewnięcie.

– I trochę dobrych chęci – powiedział, nawiązując w ten sposób do początku ich rozmowy. – Nie powinnaś robić nic, co nieuchronnie ci o tym wszystkim przypomni. To był wielki błąd, że poszłaś na jej pogrzeb.

Oczywiście, że to był błąd. Wiedziała o tym, a Wolfgang też ciągle o tym przypominał. Jednak coś ją zmusiło do pójścia na cmentarz. Była ostatnią osobą, która rozmawiała z Evą. Była jej winna tę ostatnią posługę.

Zadzwoniła do niej sąsiadka Evy.

– Dzień dobry, mówi Behrenburg.

Leona nie kojarzyła nazwiska.

– Tak?

– Jestem sąsiadką Evy Fabiani. Chciałam tylko powiedzieć, że zostanie pochowana jutro o jedenastej. Może będzie pani chciała przyjść?

Wolfgang twierdził później, że pozwoliła, żeby „jakaś kompletnie nieważna” pani Behrenburg „wymusiła na niej” udział w pogrzebie. Był zły i nie rozumiał, że ona sama odczuwała potrzebę wybrania się na cmentarz.

Była zaskoczona, że przyszło tak mało osób. Leona spodziewała się sporego grona żałobników, biorąc pod uwagę młody wiek samobójczyni. Gdy ludzie umierają w podeszłym wieku, nie mają już prawie żadnych przyjaciół, i jeśli nie mają dzieci czy wnuków, nikt nie gromadzi się przy ich grobach. Ale Eva Fabiani miała trzydzieści osiem lat! Wtedy ma się przecież przyjaciół, kolegów, rodzinę. Lecz poza panią Behrenburg i Leoną był tylko jeden mężczyzna, który przedstawił się jako brat Evy. Wyglądał na kilka lat starszego od zmarłej siostry. Nie płakał, ale wyglądał, jakby skamieniał z bólu, a momentami był jakby oszołomiony.

Gdy pracownicy cmentarza zaczęli zasypywać grób, a pastor już poszedł, brat Evy podszedł do Leony i pani Behrenburg. Uścisnął dłoń sąsiadki.

– Dziękuję, że pani przyszła, pani Lydio – powiedział. – I dziękuję za wszystko, co zrobiła pani dla mojej siostry. Wiem, że znalazła w pani oparcie.

Lydia Behrenburg aż zarumieniała się z dumy.

– Zawsze z przyjemnością spędzałam czas z pańską siostrą. Nie mam przecież nikogo na świecie. Tak bardzo będę za nią tęsknić.

Jej smutek zdawał się prawdziwy i głęboki. Stała przy grobie niczym człowiek, który patrzy, jak odpływa ostatnia deska ratunku, a on niemalże może ją chwycić.

„Jak wielu jest samotnych ludzi” – pomyślała wzruszona Leona.

Brat Evy zwrócił się do niej. Zmierzył ją chłodnym spojrzeniem szarozielonych oczu.

– Robert Jablonski – przedstawił się. – Jestem bratem Evy Fabiani.

– Leona Dorn – odpowiedziała Leona i dodała z wahaniem: – To ja jestem tą osobą, która...

– Leona była pierwsza na miejscu wypadku – wyjaśniła Lydia. – Od razu zajęła się Evą.

– Tak naprawdę to nic nie mogłam zrobić – poprawiła ją Leona. Poczuła, jakby się usprawiedliwiała.

Robert popatrzył na nią badawczym wzrokiem.

– To panią naprawdę wstrząsnęło, prawda?

Leona skinęła głową.

– Nie mogę się z tym pogodzić.

Robert założył okulary słoneczne, które zdjął, zanim się z nimi przywitał. W ciemnych szklach wyglądał jeszcze atrakcyjniej.

– Chodźmy – powiedział. – Zapraszam panie na kawę. Lydia i Leona. Czy mogę mówić paniom po imieniu? Wiedzą panie może, gdzie moglibyśmy na chwilę usiąść?

W ten upalny lipcowy dzień wylądowali więc w kawiarnianym ogródku, usiedli wokół małego stoliczka, pośród głośnych, odzianych w szorty i kolorowe podkoszulki ludzi, mężczyzna w ciemnym garniturze i dwie kobiety w czarnych sukienkach, czarnych rajstopach i czarnych butach. Leona, która zawsze dbała o figurę, zamówiła tylko kawę i wodę mineralną, Robert zdecydował się na sałatkę, a pani Lydia na olbrzymi puchar lodów. Zdominowała rozmowę, mówiła niemal bez przerwy, wspominała minione czasy z Evą. Opowiadała śmieszne, smutne i wyjątkowe historijki. Tu przypowieść, tam anegdota. Leona odniosła osobliwe wrażenie, jakby Eva cały swój wolny czas spędzała z Lydią. Choć nie знаła Ewy, jedno spojrzenie na jej twarz wystarczyło, by wiedzieć, że to kobieta wykształcona i raczej skomplikowana. Natomiast Lydia była miła, ale prosta; zacna, zapobiegliwa gospodyni domowa, którą cechowały pewna naiwność i dość ograniczone horyzonty. Leona, która już po dziesięciu minutach paplaniny Lydii czuła się jak zbity pies, zaczęła się zastanawiać, jak

Eva mogła wytrzymać jej częstą obecność. Odniosła wrażenie, że Robert Jablonski nie przepada za panią Behrenburg, choć traktował ją bardzo grzecznie i uprzejmie.

Lydia umilkła na chwilę i rozejrzała się za kelnerem, żeby zamówić kolejne lody. Leona skorzystała z okazji.

– Pan także mieszka we Frankfurcie? – spytała Roberta.

Potrząsnął głową.

– W Asconie. Nad jeziorem Maggiore.

– W Asconie? Pochodzi pan stamtąd? I Eva też?

– Jesteśmy Niemcami, ale dorastaliśmy w Asconie. Nasi rodzice mieli tam piękny dom. Potem Eva wyszła za mąż i przeprowadziła się z mężem tutaj, do Frankfurtu. On wyklada historię prawa na uniwersytecie.

– Dziwne, że nie przyszedł na pogrzeb.

Lydia wydała pogardliwe parsknięcie.

– Mnie to wcale nie dziwi! Ten lekkoduch! Kiedy jeszcze żyła, też się o nią nie troszczył. Dlaczego miałby to robić teraz, jak już umarła?

– Przypuszczam, że on jeszcze nie wie o jej śmierci! – powiedział Robert. – Gazety nie podały nazwiska, a ja nic mu nie mówiłem.

– Dowie się w swoim czasie – dodała Lydia. – Zresztą i tak go to nie obejdzie.

Wyglądało na to, że były mąż Ewy nie cieszył się ich sympatią. Leona chętnie dowiedziałaaby się czegoś więcej, ale nie chciała wyjść na wścibską. Powiedziała więc tylko:

– Zdziwiło mnie, że byliśmy na pogrzebie tylko my troje. Przecież w życiu Ewy musiało być mnóstwo ludzi?

– Właśnie, że nie – powiedziała Lydia. Akurat przyniesiono jej drugi puchar lodów, całą górę waniliowych kulek z gorącymi malinami i bitą śmietaną. – Była niewiarygodnie samotna.

– Nasi rodzice nie żyją – wyjaśnił Robert. – A poza tym nie mamy żadnych krewnych. Byłem ostatnim żyjącym członkiem jej rodziny.

– Przecież musiała mieć przyjaciół – drążyła Leona. – Koleżanki...

– Nie miała stałego miejsca pracy – powiedziała Lydia. – Po rozwodzie przez dwa lata nie była w stanie pracować z powodu depresji. A potem miała się różnych zajęć. Raz tu, raz tam. Pracowała dorywczo. W każdym miejscu zbyt krótko, żeby zdobyć przyjaciół.

– Dawała radę utrzymać się z tego?

– Nieźle sobie radziła. To mieszkanie należało do niej, miała nawet jakieś oszczędności. Meble przywiozła ze sobą. Mąż zostawił jej praktycznie wszystko, żelazko, kuchenkę, pralkę. Miał chyba nadzieję, że w ten sposób uspokoi swoje nieczyste sumienie.

Leona o nic już nie zapytała, ale zastanawiała się, jak to było możliwe. Eva Fabiani, atrakcyjna, młoda jeszcze kobieta, jest tak zupełnie sama, bez nikogo oprócz gadatliwej starszej sąsiadki. Bez stałej pracy. Bez przyjaciół. Bez mężczyzny. To z pewnością samotność skłoniła ją do śmiertelnego skoku. A nie miała nawet czterdziestki.

Robert pochylił się do przodu. Zdjął okulary. „Ma niezwykle przenikliwy wzrok” – pomyślała Leona.

– Słyszałem, że moja siostra powiedziała coś, zanim umarła. Coś w rodzaju: „Teraz mu się udało” albo coś podobnego.

– W końcu mu się udało – powiedziała Leona. – Takie były dokładnie jej słowa.

Robert się skrzywił.

– Tak – rzucił gorzko. – Teraz mu się w końcu udało.

– Komu?

– Jej byłemu mężowi. – Lydia nieustannie przypominała o owym draniu, którego najwyraźniej uważała za odpowiedzialnego za wszystkie nieszczęścia w życiu Ewy. – Jego miała oczywiście na myśli.

– Ależ Lydio, przecież mówiła pani, że oni się rozwiedli cztery lata temu! Nie mogli mieć ze sobą aż tak bliskiego kontaktu!

– Ona cierpiała – wyjaśnił Robert. Jego głos znów brzmiał obojętnie, jakby był pozbawiony emocji. – Załamała się po rozwodzie. Miała straszną depresję. Jakby oszalała z bólu. Nie potrafiła wziąć się w garść. Jej samobójstwo to logiczna konsekwencja ostatnich lat.

– Czyli to on chciał rozwodu, a nie ona – wywnioskowała Leona.

Robert zapalił papierosa. Najpierw podsunął paczkę im obu, ale nie skorzystały. Palce lekko mu drżały. Ze smutku? Ze zdeenerwowania? Z nienawiści? Jego głos nadal brzmiał obojętnie.

– Zdradzał ją – powiedział. – Zdradzał ją tak często, tak bez skrupulów, tak jawnie, że w końcu nie miała innego wyboru i musiała wystąpić o rozwód. A od tego zaczęło się jej powolne umieranie.

– To dziwne – powiedziała w ciemności sypialni – gdy na pogrzeb kogoś młodego przychodzą raptem trzy osoby: brat, sąsiadka, o której nie wiadomo, czy faktycznie była dla zmarłej podporą, czy też jej się po prostu narzucała, i zupełnie obca kobieta, która przypadkiem przechodziła tamtędy w owej ostatecznej chwili, gdy życie wydawało się już nie do zniesienia. Co za zestaw!

Wolfgang nie ukrywał już ziewania.

– Szkoda, że musiałaś tamtego dnia iść do dentysty – powiedział z westchnieniem. – Wiele by nam to oszczędziło!

– Mąż ciągle ją zdradzał. Robert jest przekonany, że przez to przyczynił się do jej samobójstwa.

– To jakaś bzdura! – odparł ostro Wolfgang. – Mówiłaś przecież, że to była jeszcze młoda i atrakcyjna kobieta!

– A co ma jedno do drugiego?

– Jeśli mąż rzeczywiście ją zdradzał, dla takiej kobiety to nie mógł być koniec świata. Proszę cię! Trzydzieści osiem lat, ładna. Spokojnie mogła sobie kogoś znaleźć. Nie musiała sobie wypłakiwać oczu!

– Może kochała go w taki sposób, że nie potrafiła się rozejrzeć za kimś innym. Przecież to możliwe.

– Sentymentalne bzdury! Jeśli się było z kimś przez trzydzieści lat albo więcej, to może trudno wyobrazić sobie życie z kimś innym. Ale aż tak długo małżeństwem być nie mogli. I jak już mówiłem, była za młoda, żeby panikować, że nie ma żadnej przyszłości!

Był mocno rozgniewany, a Leona zastanawiała się, dlaczego tak się denerwuje. Do tej pory temat Evy nudził go albo irytował. A nagle rozsierdził się zupełnie na poważnie.

Przerzuciła nogi przez krawędź łóżka i poszukała kapci.

– Idę do salonu – powiedziała. – Pooglądam telewizję. Na pewno nie uda mi się już teraz zasnąć.

Nie oponował.

2

„Ale oni potrafią ładnie przygotować zwłoki” – pomyślała Lisa.

Patrzyła na delikatną, spokojną twarz siostry. Słyszała, jak ludzie mówią o spokoju na twarzach zmarłych, ale uważała, że to zwykły frazes, stwierdzenie, które wszyscy powtarzają jak papugi. Spokój na twarzach zmarłych i powiązana z nim myśl o ich zbawieniu od wszelkich ziemskich trosk stanowiły cenną pociechę, często jedyną, jaką mieli do dyspozycji. Czegoś trzeba się przecież trzymać.

Ale Lisa uznała, że Anna naprawdę wygląda na spokojną. Jakby spała i miała jakiś piękny sen. Z jej twarzy zmyto krew i brud, z włosów wyczesano trawę i gałązki. Kto ją teraz widział, nie odgadłby, że zginęła w dramatycznych okolicznościach.

Lisa pomyślała o tym, że jej ciało nie wygląda już tak pięknie. Trudno było chyba ukryć tak liczne rany klute. Morderca ciął ją nożem jak szalony.

Ona widziała te rany. Musiała zidentyfikować siostrę. Usłyszała, jak za jej plecami ojciec cicho szlocha i odwróciła się do niego. Przez ostatnie dwa tygodnie przybyło mu co najmniej dziesięć lat. Na jego pomarszczonej twarzy malowały się przeżenie i bezradność.

Delikatnie dotknęła jego ramienia.

– Mówiłam ci przecież, tato, że nie powinieneś tu przychodzić. Sam pogrzeb będzie wystarczająco trudny. Dlaczego się uparłeś, żeby ją zobaczyć?

– Bo chciałem się pożegnać – wymamrotał Johann.

Widać było po nim, że źle się czuje w ciemnym garniturze, który miejscami lśnił zielonkawo ze starości. To jego ślubny garnitur, sprzed trzydziestu lat. Wisiał na nim jak worek. Lisa pomyślała, jak dobrze ojciec wyglądał jeszcze dwa lata temu. Zanim dopadł go rak. Najpierw płuco, dlatego mu je usunięto. Ale potem pojawiły się przerzuty do jelita i żołądka. Ostatnio często narzekał na ból w kościach, w niektóre dni ledwo się ruszał. Lisa miała pełne ręce roboty, opiekując się nim. Ponieważ w te gorsze dni nie dawała rady podnieść go z łóżka i zaprowadzić do łazienki czy pospacerować chwilę po ogrodzie, zadzwoniła do prywatnego ośrodka zdrowia w sąsiedniej miejscowości i poprosiła o pomoc. Od tej pory co drugi dzień zaglądała do nich Benno, miły, już nie taki młody mężczyzna, który nie był co prawda wyszkolonym pielęgniarzem i nie mógł podawać ani lekarstw, ani zastrzyków, ale miał dość siły, żeby podeprzeć ciężko chorego, czy nawet gdzieś go zanieść. Jego pomoc była dla Lisy ogromną ulgą.

Benno był u nich tamtego upalnego dnia przed dwoma tygodniami, gdy zadzwoniła policja. Było późne popołudnie, Lisa właśnie wychodziła na zakupy i poprosiła Bennę, żeby został z jej ojcem. Nie czuł się dobrze, nie można go było zostawić samego.

Benno otworzył drzwi, a potem wszedł na górę do łazienki, gdzie Lisa malowała właśnie usta szminką.

– Policja – szepnął. – Dwaj funkcjonariusze. Chcą rozmawiać z pani ojcem!

– Wykluczone. Czego chcą?

– Nie wiem. Wyglądają strasznie poważnie.

Zeszła po schodach i wtedy nastąpiła tragedia. W taki upalny dzień, zupełnie bez ostrzeżenia.

Jakaś para ze wsi znalazła ją w lesie, przywiązaną do drzewa, poranioną nożem. Tamta kobieta doznała szoku, była pod opieką lekarzy. Mężczyzna rozpoznał, że zamordowana to Anna Heldauer, „córką Johanna Heldauera”. Teraz musi przyjechać ktoś z rodziny, ktoś powinien ją oficjalnie zidentyfikować, widok jest przykry, ale...

– Niech się pani nie śpieszy – powiedział Benno. – Popilnuj pani ojca, ile będzie trzeba.

Poszła z policjantami i potwierdziła, że ciało znalezione w lesie to jej siostra.

A teraz znowu pochyliła się nad Anną i zrobiła znak krzyża na jej wysokim, bladym czole. Dopiero szesnaście dni po odnalezieniu zezwolono na pochówek, badania trwały całą wieczność. Lisa nie widziała Anny tak długo, a nawet jako dzieci nie były sobie szczególnie bliskie, że teraz miała wrażenie, jakby żegnała kogoś obcego. Mimo to czuła ucisk w sercu i przenikliwy ból. To była jej siostra! Obok ojca jedyna osoba, którą jeszcze miała. Ojciec wkrótce odejdzie. A wtedy zostanie zupełnie sama.

– Ona nie mogła dobrze skończyć – wymamrotał Johann, gdy zamierzali odejść. – Zawsze to powtarzałem... Prowadząc takie życie, musiała źle skończyć!

„Bądź co bądź, miała lepsze życie niż ja – pomyślała z gorącością Lisa. – Ulotniła się w odpowiednim momencie. Zostawiła mnie z ojcem, razem z jego rakiem i niekończącym się, pełnym jęków umieraniem”.

Tak bardzo nienawidziła za to Anny przez ostatnie lata, że trudno jej było przekształcić to uczucie w wyrozumiałość i współczucie, uczucia, jakie bez wątpienia powinno się odczu-

wać wobec siostry, która zginęła w tak straszny sposób. Annę spotkał okropny los, przede wszystkim zasługiwała na współczucie.

„Jestem złym człowiekiem – pomyślała Lisa – skoro nie potrafię wykrzesać z siebie współczucia. Jeśli nie potrafię tego zrobić nawet teraz”.

– Chodź, tato – powiedziała. – Musimy przejść do sali pożegnań. Inni już tam czekają.

„Inni”, czyli cała wieś. Morderstwo Anny odbiło się szerokim echem. Każdy chciał przyjść na pogrzeb. Stali tam w tych swoich czarnych garniturach i czarnych garsonkach, z kwiatami w dłoniach i gapili się na Lisę i jej ojca. Od tamtego dnia nieustannie spotykali się z wyrazami współczucia.

Czy to prawdziwe współczucie? – zastanawiała się Lisa. A może żądza sensacji? Wreszcie zaczęło się coś dziać w tej dziurze zabitej dechami! Coś, o czym można było plotkować na każdym rogu, coś, co zwabiło dziennikarzy i umieściło to zapomniane przez Boga miejsce w nagłówkach gazet. Przecież o czymś takim marzyli wszyscy. A teraz stoją wokół grobu ze wzruszonymi minami, gotując się w duchu z niecierpliwości, żeby w końcu pójść do domu i wymienić się z sąsiadami spostrzeżeniami. Że Johann źle wyglądał, że Lisa miała bezwstydną krótką spódnicę... A nikt z nich nie miał z Anną nic wspólnego. Absolutnie nikt.

Ale czy ktokolwiek miał coś wspólnego z Anną przez ostatnie lata? Jeśli miała jakichś przyjaciół i znajomych, Lisa nie mogła ich powiadomić. Nikt nie miał pojęcia, gdzie Anna przebywała przez ostatnie sześć lat. Gdy wtedy, mając zaledwie osiemnaście lat, wyruszyła z domu tuż po śmierci matki, bo nie mogła już wytrzymać w tym „kołtuńskim drobnomieszczańskim światku”, jej celem była Ameryka Południowa.

– Wędrować, dziś tu, jutro tam, nie wiedząc, co będzie, bez jutra, bez wczoraj, zauważać tylko bieżącą chwilę – tak przedstawiła jej swoje plany.

Lisa, ta młodsza, słuchała z zazdrością i szeroko otwartymi oczami, ale ojciec, wtedy jeszcze zdrowy i silny, wyraził swoje wątpliwości:

– To zbyt niebezpieczne dla samotnej kobiety. Czy ty masz pojęcie, co może się wydarzyć? W tych południowoamerykańskich państwach ciągle są jakieś rewolucje i powstania albo pucze. I wtedy nikogo nie obchodzi, co się dzieje z jakąś cudzoziemką, która pałęta się po okolicy. Ktoś cię ukatrupi i zakopie, i nikt się o niczym nie dowie!

Anna roześmiała się, puszczając mimo uszu krakanie ojca. Lisa miała przed oczami jej widok z dnia wyjazdu: promienna, w świetnym humorze, śniada po godzinach opalania się na nadrzecznych błoniach; jej długie, kręcone, ufarbowane na kolor miodu włosy spływały po plecach, a wokół szyi i nadgarstków dzwoniła tania turkusowa biżuteria ze sklepu indyjskiego. Lisię wydawało się to tragiczne, że ponure przepowiednie ojca się sprawdziły, choć inaczej niż myślał. Anna nie zginęła w Ameryce Południowej, tylko całkiem blisko rodzinnego domu, niedaleko małej wioski w pobliżu Augsburga, w której dorastała, w takim lesie, w jakim bawiła się jako dziecko. Pewnie zmierziała do domu, lecz zanim osiągnęła swój cel, padła ofiarą mordercy.

„Po sześciu latach – pomyślała Lisa. – Dlaczego wracała do domu? Po tak długim czasie, gdy nie dawała znaku życia, nagle zechciała wrócić. Dlaczego?”

Starła się ignorować spojrzenia ludzi i ich szepty, kiedy przechodziła między rzędami krzeseł w sali pożegnań. Trzymała ojca pod ramię, a on mocno się o nią opierał.

3

„Dlaczego tak się nagle rozpadało?” – zastanawiał się. Patrzył na szybę, o którą uderzały krople deszczu. Lało jak z cebra.

Drzewa pochylały się pod naporem burzy. Gdzieś daleko uderzył piorun. Potężna, głośna, letnia burza. Od tygodnia prawie co wieczór. Z rzęsimym deszczem, gwałtownymi porywami wiatru, który wyrwał drzewa z korzeniami i strącał doniczki z balkonów. Koniec sierpnia, ale bez długich ciepłych wieczorów. Lato żegnało się z hukiem. Meteorolodzy zapowiadali deszczowy i chłodny początek września.

Wolfgang czuł w kościach zmęczenie, które utrudniało mu wszystko: wstanie, wzięcie prysznic, ubranie się. Otulony ciemnozielonym szlafrokiem opadł na krzesło w kuchni i nalał sobie kawy, która stała tam od południa. Była zimna, ale Wolfgang nie był w stanie wykrzesać z siebie dość energii, żeby zaparzyć nową. Powinien iść do domu, czekało na niego jeszcze mnóstwo pracy. Dlaczego czuł się taki zmęczony, taki przybity?

Do kuchni weszła Nicole. W przeciwieństwie do Wolfganga zdawała się wręcz tryskać energią.

– Co masz takie ponure spojrzenie? Znudziłam ci się? – Podeszła do niego od tyłu i objęła go. Przycisnęła twarz do jego policzka. Jej długie włosy opadły na stół.

– Nie mów, że pijesz zimną kawę? Nic dziwnego, że jesteś w złym humorze!

– Wcale nie jestem w złym humorze.

– Ależ tak! Popatrz na siebie. Zrobię ci świeżej kawy. – Z typową dla siebie ruchliwością miała się właśnie zacząć kręcić po kuchni, lecz on przytrzymał ją za ramię.

– Nie. I tak muszę już iść. Nie wiem właściwie, dlaczego siedzę tutaj jak w letargu.

Spowaźniała, popatrzyła na niego badawczym wzrokiem, a potem usiadła przy stole naprzeciwko.

– Już wiem, dlaczego tak się źle czujesz – powiedziała z namysłem. Bawiła się pustą filiżanką po kawie, która stała tam od południa, odkąd Wolfgang przyszedł i razem wypili kawę, zanim poszli do łóżka. – Dziś jest trzydziesty pierwszy sierpnia.

Westchnął.

– Tak, dziś jest trzydziesty pierwszy sierpnia. – Data ta zdawała się ciążyć mu niczym ołów. Jeszcze bardziej opuścił ramiona.

– Co powiedziałeś Leonie? Że dokąd idziesz?

– Do redakcji. Że wynikły tam jakieś problemy...

– Niczego się nie domyśla?

– Wczoraj powiedziała, że się zmieniłem. Że jestem taki... niezrównoważony, rozdrażniony. Odpowiedziałem, że to z przepracowania.

Nicole nie patrzyła na niego, wpatrywała się w swoją filiżankę.

– Ze względu na siebie – powiedziała – powinieneś wyjaśnić sytuację. Masz zszarpane nerwy.

– Mówiłem ci, że powiem jej do końca sierpnia. I tak będzie.

– W takim razie został ci już tylko dzisiejszy wieczór.

– Wiem.

Wyciągnęła rękę przez stół i delikatnie dotknęła jego dłoni.

– Jeśli zajmiesz się tym jutro albo pojutrze, nie będę na ciebie zła. Nie musisz psuć jej i sobie niedzielnego wieczoru.

– Wcale nie będzie łatwiej, jeśli dalej będę to odsuwać – odparł z irytacją.

Na zewnątrz rozległ się grzmot. Zaraz potem kuchnię zalało światło błyskawicy.

– Chciałem jej powiedzieć w lipcu. Naprawdę byłem zdecydowany. Ale wtedy wydarzyła się ta przekłeta historia z kobietą, która wyskoczyła przez okno. Leona była potem taka rozbita. Nie mogłem jej oznajmić, że kocham inną i że chcę się rozwieść.

– Doszła już do siebie?

– Nie do końca. Ta sprawa bardzo ją dotknęła. Ale oczywiście nie mogę wiecznie zwlekać.

Nicole z głośnym brzękiem odstawiła filiżankę.

– Może jest sprytniejsza, niż myślisz. Wyczuwa, że coś jest nie tak. I udaje wystraszoną biedaczkę, której nie można utrudniać życia nieprzyjemnymi wiadomościami.

Wolfgang poczuł złość. Kochał Nicole, ale przecież Leona nie była mu obojętna.

– Nie odniosłem wrażenia, że coś przede mną odgrywa – odpowiedział ostrym tonem. – Wcale nie jest śmiesznie zobaczyć, jak ktoś wyskakuje przez okno i spada na asfalt tuż przed tobą. To naprawdę był pech, że akurat tamtędy przechodziła.

Wstał. Czekanie na to, że sprawy same się załatwią, nie miało sensu. Leona miała prawo poznać prawdę. Nicole miała prawo mieć jasną sytuację. On miał prawo nie mieć już dłużej wyrzutów sumienia. Nigdy dotąd nie czuł się tak podle.

Myślał, że poczuje się lepiej, jak tylko to powie. W jakimś dziecięcym, idiotycznym zakątku swego umysłu żywił mglistą nadzieję, że wszystko przebiegnie bezproblemowo, gdy tylko prawda ujrzy światło dzienne. Leona okaże rozsądek i chęć współpracy, powie coś w rodzaju: „Masz całkowitą rację, między nami nic nie jest już tak jak kiedyś. To dobry pomysł, żeby się rozstać. Zostańmy przyjaciółmi!”.

Albo wpadnie natychmiast we wściekłość, zacznie go przeklinać i każe się wynosić. Pomogłoby mu, gdyby go wyrzuciła. Gdyby poznał ją jako szalejącą furie.

Ale nie wściekła się wcale, na początku nic też nie mówiła. Zbladła i siedziała w milczeniu, wyglądało to tak, jakby była w szoku. Pomyślał, że był idiotą, mając nadzieję, że sprawa przybierze łagodny obrót. Spędzili razem trzynaście lat jako małżeństwo, a wcześniej trzynaście lat romantycznej, młodzieńczej miłości. Dziś tamte uczucia uważał za naiwność. Gdy mając piętnaście lat, postanawia się, że się weźmie ślub, gdy mając dwadzieścia osiem, w końcu się to robi i na dodatek jest się przekonanym, że nigdy niczego nie będzie brakować, że nigdy w duchu nie będzie się żałować straconych okazji, to jest się po prostu głupcem. Ma się fałszywe wyobrażenie o życiu i fiasko jest nieuchronne.

Popatrzył na Leonę. W jego spojrzeniu była czułość, której już dawno wobec niej nie odczuwał. To była czułość, jaką żywi

się wobec człowieka, z którym spędziło się tyle lat, że miłość do niego utożsamiała się z miłością do ważnej części własnego życia.

Wolfgang uświadomił sobie w tym momencie, że z Leoną zawsze będą go łączyć wspomnienia dobrych lat, wypadów na dyskoteki, gdy byli nastolatkami, końca szkoły, życia studenckiego, początków w telewizji jako stażysta, awansu na redaktora naczelnego. To z nią dzielił radość z pierwszego czeku z wypłatą, to z nią pił szampana, gdy dostał awans. Na studenckich imprezach przetańczyli całe noce, a jeśli mieli wykłady o tej samej godzinie, ręka w rękę biegli na uniwersytet. Nagle przypomniał mu się dzień ich ślubu, ale natychmiast odpędził tę myśl. Nienawidził sentymentów.

Milczenie trwało, gęstniało. Jedzenie, które stało przed nimi na stole, wystygło. Czerwone wino w kieliszkach miało barwę starej biżuterii z granatami. Na zewnątrz szumiał deszcz. Burza minęła.

Gdy Leona w końcu przerwała milczenie, Wolfgang miał ochotę ją za to uścisnąć. Nawet najgorsze wyrzuty wydawały mu się łatwiejsze do zniesienia niż ta złowieszczą cisza.

Leona zadała zaskakująco rzeczowe pytanie:

– Od jak dawna?

Postanowił sobie, że odpowie na wszystkie jej pytania i że będzie szczery.

– Niecałe pół roku.

– A więc od lutego.

– Od połowy marca.

– Kto to jest?

– Koleżanka.

– Znam ją?

Zawahał się.

– Nie wiem. Nie należy do kręgu osób, które od czasu do czasu zapraszam do domu. Ale możliwe, że spotkałaś ją w redakcji, jak mnie tam odwiedzałaś.

– Występuje w telewizji?

– Robi filmy dokumentalne. Głównie o problemach kobiet. W przyszłym roku ma dostać swój własny talk-show.

W oczach Leony widać było ogromne skupienie.

Wolfgang pomyślał, że zadawanie mu tych wszystkich pytań tak spokojnym tonem musi ją kosztować sporo sił. Powiedziała mu później, że koncentrowała się wtedy na tym, żeby otrząsnąć się z oszołomienia. Trudno jej było uporządkować własne myśli i uformować z nich słowa.

– Dzisiaj po południu nie byłeś w pracy – powiedziała.

– Nie.

Była biała jak ściana.

– Spaleś z nią?

„Nie należy przesadzać ze szczerością” – pomyślał Wolfgang.

– Nie – odpowiedział, ale zorientował się, że mu nie wierzy.

– Dla pół roku z nią – powiedziała cicho – dla pół roku z nią chcesz zdeptać tyle naszych wspólnych lat.

– Nie dla pół roku. Dla całej przyszłości.

– I jesteś tego całkowicie pewien?

– Na litość boską, Leono, co to znaczy: całkowicie pewien?

Rzucił palenie, ale nagle poczuł ochotę na papierosa. Na szczęście w domu nie było ani jednego. Wciąż znajdował się na takim etapie, że jeden papieros mógł oznaczać powrót do nałogu.

– Czy kiedykolwiek można być czegokolwiek całkowicie pewnym? Ale uważam, że we dwoje, ona i ja, mamy sporą szansę, i chciałbym skorzystać z możliwości, jakie się przed nami rysują.

Zauważył, jak to napuszenie zabrzmiało. Ale czy byłoby lepiej, gdyby powiedział: „Zakochałem się w tej kobiecie. To się wydarzyło niespodziewanie, nic nie mogę na to poradzić. Nie znałem wcześniej takiego uczucia. A może znałem, ale to było tak dawno temu, jakby w innym życiu”.

W ten sposób tylko wzmógłby jej ból. Uciekł się więc do frazesów, które miały jak najmniej powiedzieć o jego prawdziwych uczuciach.

Roześmiała się krótko.

– Jak pięknie! I widzisz z nią możliwości, jakich nie miałaś ze mną?

Odwieczne pytanie: Co ona ma, czego mnie brakuje? Miał ochotę poprosić, żeby darowała sobie to przesłuchanie, ale czuł, że to on w tej historii jest draniem, więc uznał, że konieczność przetrwania tej sytuacji to na swój sposób sprawiedliwa kara.

– To wszystko ma tak naprawdę niewiele z tobą wspólnego, Leono – powiedział, czując, że używa wyświechtanych stereotypów. Cała ta sytuacja była zresztą koszmarnie stereotypowa. Zupełnie jakby odgrywali jakiś odwieczny rytuał: te same pytania, te same odpowiedzi, po milion razy użyte na całym świecie. Ofiary zawsze stawiają takie same pytania. A sprawcy zawsze udzielają takich samych odpowiedzi. – Jesteśmy ze sobą już strasznie długo, Leono, może to dlatego. Byliśmy przecież prawie dziećmi, gdy się poznaliśmy. Od tamtej pory trzymamy się razem niczym bliźnięta syjamskie. Żadne z nas nie miało nigdy okazji, żeby spróbować czegoś innego. Żadne z nas nie miało szansy sprawdzić, jak to jest, żyć z kimś innym, kłócić się z nim, śmiać, docierać się i...

– I spać – dokończyła Leona urwane zdanie. W jej głosie brzmiała gorycz.

– Tak – powiedział Wolfgang. – I spać. To oczywiście też.

Leona czuła, że oszołomienie powoli ustępuje. Znikały po kolei wszystkie osłony, które ją chroniły. Na szczęście nie do końca. Ból nie mógł jeszcze na nią skoczyć i wbić w nią swych szponów.

– Mówisz tak – powiedziała – jakby bycie z tą samą osobą przez całe życie było najgorszą rzeczą na świecie. A przecież to było nasze wspólne marzenie. Przecież my zawsze...

– Nie – przerwał jej. Jego głos brzmiał twardo i surowo. – Nigdy nie mieliśmy wspólnego marzenia. To ty miałaś marzenie. Cholernie romantyczne marzenie o idealnym związku. O szczęściu przez całe życie. O starzeniu się razem i tworzeniu

przez długie, długie lata nierozdzielnej wspólnoty. W twoich życiowych planach nie było miejsca na niepowodzenie.

– A czyje życiowe plany przewidują niepowodzenie? – zapytała Leona, czując suchość w ustach.

– Może nie samo niepowodzenie, tylko możliwość jego wystąpienia. Nie ma się wtedy poczucia, że siedzi się w gorszej, którego nie można zdjąć, bo w przeciwnym razie druga osoba zostałaby pozbawiona iluzji, bez których nie potrafi żyć.

– I ja według ciebie jestem osobą żyjącą iluzjami?

– Może nie umiesz być inna. Pochodzisz z rodziny, w której wszyscy wręcz wiszą na sobie, kochają się, trzymają się razem... Ale twoje siostry, każda na swój sposób, jakoś się zbuntowały. Ty nie. Przejęłaś marzenia rodziców i spełniasz je. Mając czterdzieści jeden lat, Leono, jesteś dokładnie taka sama, jak kiedy miałaś ich piętnaście.

Gdy tylko to powiedział, zorientował się, że był zbyt surowy. Choć był przekonany o swojej racji, chętnie cofnąłby wypowiedziane słowa. Nagle poczuł w sobie niemal brutalne pragnienie, żeby zniszczyć idealny świat, w którym czuł się zamknięty przez tyle lat, a jednocześnie wstydził się tej prymitywnej potrzeby.

Wzdrygnęła się i zrobiła jeszcze bledsza, o ile to w ogóle było możliwe.

– To znaczy – próbował złagodzić swą wypowiedź – że po prostu nic się nie zmieniło, jeśli chodzi o twoje wyobrażenia o życiu. Pod tym względem jest tak, jakbyś... jakbyś pozostała małą dziewczynką.

Patrzyli na siebie bezradni, zagubieni, on niemal owładnięty pragnieniem, żeby wygarnąć jej wszystko o tym, co nie odpowiadało mu w niej i w ich wspólnym życiu, co nigdy mu nie odpowiadało, ona natomiast wciąż walcząca o to, by nadrobić zdobytą przez niego przewagę; była zaskoczona, a przez to znalazła się na gorszej pozycji i nie potrafiła się odnaleźć w tej sytuacji.

Telefon zadzwonił w idealnym momencie.

Wolfgang odebrał, czując ulgę, że wydarzyło się coś, co rozładowało atmosferę. Dzwoniła Lydia Behrenburg. Chciała porozmawiać z Leoną.

– Dzień dobry, Leono, jak się pani czuje? – Głos Lydii brzmiał wesoło, wręcz beztrzesko. Śmierć Evy zrobiła ogromną wyrwę w jej życiu i kiedyś samotność znów nabierze dla niej tragicznego wymiaru, ale na razie cieszyła się z odmiany w swej monotonnej egzystencji. Przepytywali ją policjanci i dziennikarze, mogła się poczuć ważna. W sumie lato okazało się nadspodziewanie ciekawe. – Leono, Robert Jablonski przyjechał na kilka dni. Chce opróżnić mieszkanie Evy. To wręcz syzyfowa praca!

Lydia najwyraźniej zaangażowała się w tę sprawę. Z pewnością zakładała, że dostanie się jej niejeden ładny przedmiot, pomyślała uszczypliwie Leona.

– Robertowi przyszło właśnie do głowy, żeby spytać, czy nie chciałaby pani też przyjść i zobaczyć, czy coś by się pani nie przydało – kontynuowała Lydia. – On nie może tego wszystkiego zatrzymać, ale nie chciałby też tych rzeczy wyrzucić ani sprzedać obcym.

– Sama nie wiem...

– Niech pani zaraz przyjdzie! To przecież tylko kilka przedmiotów.

Dziś wieczorem, w takim stanie... Wykluczone.

– Lydio, dzisiaj nie za bardzo... Mój... – przerwała.

„Mój mąż” chciała powiedzieć, ale nagle nie potrafiła wymówić tego słowa. Jej mąż wkrótce stanie się jej byłym mężem. A Eva zabiła się, bo nie potrafiła się z taką stratą pogodzić.

– Och, niech pani przyjdzie, niech się pani przemoże! – wykrzyknęła Lydia. Zupełnie jakby zapraszała ją na jakieś wesołe przyjęcie, a nie do opróżniania mieszkania samobójczyni.

Do ucha Leony dotarł głęboki, spokojny głos Roberta, najwyraźniej zabrał Lydii słuchawkę.

– Leona? Tu Robert. Oczywiście nie musi pani przychodzić, jeśli nie ma pani ochoty. Pomyślałem tylko, że może znalazłaby pani coś, co chciałaby pani mieć. Na przykład książki.

Miała tysiąc innych spraw na głowie. Jak miałyby się teraz skupić na ruchomościach wchodzących w skład spadku po Evie Fabiani?

– Chyba nie byłabym tam na miejscu – powiedziała w końcu. Poczula pierwszy, delikatny ucisk w tyle głowy. Jeszcze gozdina, a ból zapłonie wściekle tuż za czołem.

– Jest pani ostatnią osobą, z którą rozmawiała moja siostra – powiedział Robert poważnym tonem. – Ostatnią osobą, która się o nią zatroszczyła, zanim straciła przytomność. Jak najbardziej będzie pani na miejscu.

– To bardzo miłe z pana strony, Robercie, dziękuję. Tylko że dzisiaj...

W przeciwieństwie do Lydii Robert miał dobry słuch.

– Czy wszystko w porządku? Pani głos brzmi jakoś dziwnie.

– Ja... Obawiam się, że się przeziębiam. Niech pan posłucha, Robercie. Jeśli się nie rozchoruję na dobre, zajrzę jutro po pracy. – Zostawiła sobie furtkę, żeby w ogóle się tam nie pojawić. – Mniej więcej o szóstej

– Bardzo bym się ucieszył – powiedział Robert. – Możliwe jednak, że jutro będzie tu były mąż Evy. Ma zabrać rzeczy, które Eva od niego dostała. Mnie na nich zupełnie nie zależy.

Leona zapewniła, że były mąż Evy nie będzie jej przeszkadzać, i pożegnała się. Ból głowy atakował szybciej niż zwykle.

Odwróciła się do Wolfganga, który właśnie nalewał sobie whisky.

I zaczęła wrzeszczeć.